



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



NA KSIĘŻYCU.

Jeżeli spojrzymy na księżyc w pełni gołym okiem, to dostrzeżemy tylko świetlane koło, na którym tu i owdzie po-

rozzucane są ciemniejsze plamki. Plamki te przez lunetę zarysowują się daleko wyraźniej; można odróżnić mniej więcej ich kształty.

Wiadomo powszechnie, że księżyc, podobnie jak nasza ziemia, jest planetą czyli ciałem niebieskim, które świeci, odbijając od siebie promienie słońca i ma kształt kulisty. Jest on tak daleko od ziemi, że pociąg drogi żelaznej, jadąc bardzo szybko, dzień i noc bez ustanku, zawiózłby nas tam nie prędzej jak za pół roku przeszło.

Nikt na księżyc wprawdzie nie dostał się jeszcze; uczeni jednak przy pomocy olbrzymich lunet, nazwanych teleskopami, potrafili go dokładnie zbadać, a nawet ułożyli mapę jego, zupełnie tak samo jak mapę Europy np. lub Ameryki.

Dzięki więc pracom astronomów, wiemy już dokładnie, jakby się nam przedstawił księżyc, gdybyśmy zdołali w jakiś sposób się tam przenieść. Księżyc nie jest wcale takim małym jak się wydaje. Jeżeli by kto położył na jedną szalę wagi kulę ziemską, musiałby wrzucić na drugą 80 księżyców: mówiąc inaczej, księżyc jest ośmdziesiąt razy lżejszy od ziemi. Wyobraźmy sobie, że ktoś wydrążył kulę ziemską i począł do środka wrzucać księżyce, oto dla napełnienia jej musiałby ich użyć pięćdziesięciu. Nazywamy księżyc towarzyszem ziemi dlatego, że trzyma się zawsze w jej pobliżu obiegając ją dokoła w przeciagu miesiąca.

Gdybyśmy cudownie zostali nagle przeniesieni na księżyc, pierwszym uczuciem jakiego doznalibyśmy, byłby chłód przenikliwy i duszność; spojrzawszy w górę ujrzelibyśmy zamiast obłoków i błękitu nieba, czarny firmament, zasiany, świecącymi nawet podczas dnia gwiazdami, pomiędzy którymi wspaniale błyszczy olbrzymia, okrągła i wolno obracająca się nasza ziemia. Wydaje się ona stamtąd czternaście razy większą, aniżeli nam księżyc; gołym okiem odróżniłby można na jej powierzchni kontury lądów: Europy, Azji, Afryki i Australii; w dwanaście godzin potem dostrzedz całą zachodnią pół-

LIST Z WARSZAWY.

kulę wraz z Ameryką; oceany, pochłaniając promienie słończne świecą słabiej, aniżeli lądy; lody podbiegunowe iskrzą się najsilniej. Oderwawszy wzrok od ziemi, którą opuściliśmy tylko co, rozglądamy się dokoła, po nowym świecie. Pusto na nim i ponuro; nigdzie żadnej roślinki ani zwierzęcia; istoty żywe nie mogą się obejść bez powietrza i wody; ani pierwszego zaś, ani drugiej nie ma wcale na księżycu; promienie słoneczne, nie pochłaniane przez atmosferę, palą nieznośnie, padając na nagie skały; w cieniu za to panuje chłód nie do wytrzymania.

Martwy świat księżycowy zrobił na nas przykre wrażenie; chcemy go jednak poznać dokładnie; przed nami wznosi się olbrzymia góra, najeżona niebotycznymi skałami i poorana niezgłębionymi przepaściami. Zaraz zauważyć można iż takich wielkich gór niema wcale na ziemi; najwyższe Himalajskie, są siedm razy mniejsze od księżycowych. Trzebaby wdrapać się na wierzchołek gór a z niego łatwiej przyjrzymy się całej powierzchni księżyca.

Ruszamy więc. Zaledwie jednak podnieśliśmy nogę, już bylibyśmy zdziwieni naszą nadzwyczajną lekkością. Nieczulibyśmy wcale prawie ciężaru ciała; podskoczywszy wznieslibyśmy się o kilkanaście stóp w górę. Co to znaczy?

Zjawisko bardzo proste. Księżyc, będąc mniejszy od ziemi, przyciąga daleko słabiej przedmioty, znajdujące się na jego powierzchni, człowiek wążący na naszym świecie 110 funtów, na księżycu posiada ciężar 18-tu. Nic więc dziwnego, iż stawszy się sześć razy przeszło lżejszym, mógłby z łatwością przeskakiwać szerokie na kilka sążni przepaście i wysokie skały, które na ziemi stanowiłyby dla niego nieprzebytą przeszkodę. Dzięki temu, bez wielkiego zmęczenia wydostaby się na szczyt owęj góry! Stamtąd ogarnęlibyśmy wzrokiem olbrzymią przestrzeń. Przed naszymi oczyma rozciągają się nieskończone łańcuchy potężnych wulkanów; widzimy czarne ich czeluście sięgające aż do środka księżyca; wszystkie one jednak oddawna już przestały zionąć ogniem i dymem; sąsiad ziemi wystygł bowiem zupełnie; jest zimnem ciałem, na którym niema śladu życia.

Kratery i kratery bez końca, więcéj nic nie dostrzeżlibyśmy dokoła siebie. Rozgniewani tą martwością, strącamy w przepaść wielki głaz. Toczy się on na dół; o dziwo, bez najlżejszego szelestu i wolno nadzwyczaj, niema bowiem powietrza, którego wstrząśnienia pozwoliłyby nam słyszeć jakiegokolwiek bądź dźwięki, siła ciężenia zaś leniwie tu działa.

Pędzimy więc z góry na dół, bezkarnie zeskakując z wyniosłych skał; znalazłszy się na dole biegniemy dalej, w nadziei, że natrafimy gdzieś na inne warunki. Po kilku dniach podróży dotarlibyśmy na drugą półkulę. Tam jednak panują nieprzeniknione ciemności i niesłychane zimno. Księżyc nie obraca się dokoła swéj własnej osi, długo więc będziemy czekali nim ta druga półkula zostanie oświetloną promieniami słonecznymi. Nie byłoby jednak poco iść dalej; nie znaleźlibyśmy tam nic, prócz pustych skał i wyniosłych łańcuchów zagasłych wulkanów.

Czulibyśmy się zawiedzionymi, świat ten taki tajemniczy taki ponętny zdala, zbliżona, jest strasznym, śmierć panuje w nim wszechwładnie. Żywa istota, niema tam co robić. Lepiej więc pozostać na naszej ziemi, która jest tysiąc razy piękniejszą.

Po niedalekiej wędrówce, a dłużej niebytności powróciłam wreszcie do Warszawy i śpieszę powitać was, drodzy moi korespondenci, oraz podziękować wam za dowody pamięci, jakie od was otrzymywałam. Dopóki byłam na wsi, listy wasze przysyłano mi; potem gdy pojechałam do Ojcowa, przestałam je odbierać, lecz natychmiast po powrocie opomniałam się o nie. Złe mówię: nie potrzebowałam się nawet upominać, bo Redakcja—jak zawsze na skrzydlatą posłanniczkę swoją względna—nadesłała mi je wszystkie nazajutrz po moim powrocie, zanim zdążyłam wybiedz by powitać całe grono współpracowników. Na liściki odpowiedziałam już w krótkości każdemu z osobna; teraz więc ze wszystkimi razem chcę pogawędzić o tem co widziałam podczas wakacyj i teraz już po powrocie.

— Gdzie byłam? spytacie może. Z początku na piaskach mazowieckich pod Warszawą na téj nieskończonej płaszczynie, gdzie jak mówi poeta „kłania się zboże całym łańcem” a potem w okolicy przedstawiającej najpiękniejszy z naszych krajobrazów: w malowniczej dolinie Ojcowskiej, którą tak szczerze podziwiała Niezapominajka z nad W. i Macierzanka. Pojechaliśmy odwiedzić krewnych zamieszkałych pod samym Olkuszem i tam utworzył się projekt zwiedzenia téj przeszlicznej miejscowości, którą dawno już poznać pragnęłam. Jest stare przysłowie: „niema złej drogi do swojej niebogi”; to też w myśl jego, Ojców uważając za „niebogę” nie zwracaliśmy już uwagi na szkaradnie męczącą drogę, którą przebyć nam przyszło, zanim przed zdumionemi oczyma naszymi roztoczyła się wspaniała panorama lasem szumiących gór, ze szczytu których wzrok sięga aż po łańcuch tatrzańskich olbrzymów, świerkami i kosodrzewiną porosłych. Ze szczytu Chelmowej góry najrozleglejszy przedstawia się widok, a we wnętrzu jej znajduje się najwspanialsza z grot, długa na 168 łokci. Mnóstwo ciekawych zwiedza ją codzień prawie i z ciekawością zapuszcza wzrok w ciemność podziemia, które niegdyś służyło ludziom za chwilowe schronisko.

Większą dużo jest od téj grota Wierzchowska, o której słyszeliście zapewne iż znaleziono w niej mnóstwo kości ludzkich i zwierzęcych, oraz rozmaite wyroby gliniane, kamienne żelazne, jako to: garnuszki bardzo niezdarnej roboty, ale dowodzące że wypalanie gliny znanem już było podówczas, noże w oprawie z kości i t. p. sprzęty służące do codziennego użytku. Pomiedzy kośćmi zwierzęcemi były kości mamuta, hieny jaskiniowej, niedźwiedzia, które to stworzenia poprzedzić tu musiały człowieka.

W innych znowu grotach podziwiałam piękne stalaktyty, a wyszedłszy z podziemia na dzień biały widziałam stokroć od nich piękniejszą roślinność na poły już górską, odmienną od téj, jaką znajdujemy na równinach; paprocie szczególnie są tak piękne i szczególniejszego kształtu, że nie mogłam się oprzeć chęci wykopania kilku, które umieściłam w koszyku i mchem obetkane, szczęśliwie przywoziłam do Warszawy.

Zwiedziliśmy także Pieskową Skałę z odwiecznym zamkiem, tak dobrze zachowanym, dalej kościółek św. Salomei, gdzie widziałam pamiątkę po niej: łóżko z kamieni, które służyło pobożnej księżnie za ostatnie posłanie. Jak widzicie, nie brakło celu do wycieczek, stanowiących przyjemność nielada. Chodziliśmy wszędzie z górskimi kijami, które znakomicie ułatwiają wędrówkę, bo i podporę stanowią, i ostrym szpicem zakończone dają razem bezpieczny punkt oparcia w razie, gdyby komu usunęła się noga na stromym często stoku wzgórze. Rozkosznie więc płynął dzień po dniu, w liczmem gronie znajomych, ale początek roku szkolnego zmusił wielu do powrotu do Warszawy, chociaż piękna w końcu sierpnia pogoda nęciła do dłuższego pozostania. Nie można jednak było uledeć pokusie i rozjechaliśmy się wszyscy; ja tylko nie zaraz jeszcze wróciłam, bo zatrzymano mnie u krewnych pod Warszawą, gdzie stanęłam do pomocy w fabrykowaniu różnych łakoci i zapasów śpiżnianych. Nie wiele mam w tem jeszcze wprawy, ale że

znajomość gospodarstwa każdej kobiecie jest potrzebną, chętnie więc zajęłam stanowisko uczennicy i mam nadzieję, że powidła, serki owocowe, korniszony, pomidorowe i inne konserwy, do przyrządzania których dzielnie dopomagałam, będą dowodem nie tylko moich dobrych chęci ale nawet pewnej znajomości rzeczy.

Tyle o wakacjach. Użyłam ich doskonale i zupełnie jestem zadowolona ze sposobu ich przepędzenia. Nazajutrz po mym powrocie byłam obecną na otwarciu zakładu leczniczo-gimnastycznego przy szkole rzemiosł p. Korycińskiego. Szkoła sama posiada ustaloną opinię i o niej nic do powiedzenia nie mam; ale przyłączenie do niej gimnastyki jest nowością zasługującą na wzmiankę. Udzielać jej będą lekarze i dla tego właśnie *leczniczą* się nazywa, że rodzaj jej zastosowywanych będzie do potrzeb organizmu, a nakazywane przez lekarza ćwiczenia, mieć mają głównie na celu zapobieżenie chorobliwemu skrzywieniu lub usunięcie takowego, oraz wzmocnienie zwątlonych chorobą czy nadmiarem pracy tak dzieci jak i dorosłych. A prócz *ortopedycznej*, (bo tak się nazywa gimnastyka lecznicza) można pobierać lekcye gimnastyki zwyczajnej: higienicznej, stanowiącej tak przyjemną rozrywkę dla młodzieży zdrowej i ruch lubiącej. Pamiętam, jak lubiłam ją sama; to też z zajęciem przyglądałam się nowym i liczным przyrządom: trapezom, drabinkom sznurowym, kozłom i t. p. osobliwościom, przy pomocy których wyrabia się zręczność i siła. Wiem z doświadczenia jak mnie służyły podobne ćwiczenia, choć silnem byłam dzieckiem. Zakład ten przynieść może pożytek nie tylko dzieciom, bo p. Korycińska chcąc uprzystępnić korzystanie z gimnastyki pracownikom z magazynów, zmuszonym do całodziennego siedzenia, oddaje na ich usługi sale gimnastyczne od 8-jej do 9-jej rano, zniżwszy dla nich opłatę. A kiedy już mowa o dzieciach potrzebujących leczenia, wspomnieć jeszcze muszę o zakładzie leczniczym dla dzieci skrofulicznych, powstałym we Francyi, w Pen-Bron, za sprawą niejakiego p. Pallu, człowieka wielkiej energii i wielkiego serca. Zakład ten zwiedzał brat mój Józio, który odbył podczas wakacyj śliczną podróż do Londynu i widział tam mnóstwo osobliwych rzeczy. Opowiada o nich z takim zapalem i korzystając z łask, jakie wasza Gołąbka ma w Redakcyi, prosi by mu je pozwolono opisać w Wieczorach... Nie! nie mogę powiedzieć co, bo Józio nie wybaczyłby mi takiego wygadania się, powiem wam tylko, że prawdopodobnie uzyska pozwolenie napisania do was. Nie każdy ma sposobność podróży do Londynu i Józio niepomahał się też pyszni okazać, jaka mu się zdarzyła. Chociaż i u siebie jest co widzieć, byle tylko poszukać, bo sumienna, z należytem przygotowaniem przedsięwzięta praca wszędzie plon przynosi i zawsze nauczający stanowi widok. Mówię to zaś dla tego, że żywo stoją mi jeszcze w oczach plony takiej właśnie pracy; u p. Tokarzewskiej, w szkole rzemiosł i sztuki stosowanej, widziałam meble w stylu Ludwika XV, do których pomysłu dała sama przewodniczka szkoły i pod osobistym swoim kierunkiem kazawszy je wykonać, stworzyła pięciodełka elegancyi i artystycznego smaku, mogące zdobić najwykwintniejszy gabinet. Widziałam tam także stoliczki z wypukłą emalią japońską, przedstawiającą na jednym japońską muzykantkę, na drugim malarkę. Tajemnicę naśladowania tej emalii posiada tylko p. T. a mając oryginalne wzory japońskie, przytem smak wykształcony, właściwy osobom, które dużo widziały i umieją z tego korzystać, tworzy japońszczyzny tem się tylko różniące od prawdziwych, że nie odbyły dalekiej podróży. Napatrzywszy się tam rozmaitych śliczności, poszłam na wystawę pomologiczną, otwartą przy ul. Niecałój, u p. Ulricha. Owoce, rzecz to bardzo pożądaną, szczególnie, gdy zobaczysz naraz dwieście kilkadziesiąt odmian jabłek, gruszek, śliwek, to żółtych jak złoto lub bursztyn, to ciennie posnowych, to znowu krwisto-czerwonych, to ciennie różowych, to przepysznie fioletowych, białawych, zielonych, zarumienionych, białych, pękatych, wysmukłych, okrągłych, podłużnych, matowych, przejrzystych, różnych barwą, kształtem, pochodzeniem, nazwiskiem, lecz jednakich smakowitością, o której z woni ich i wyglądu wnioskować można. Nie macie pojęcia, jaki tam zapach uderzał u wejścia! wznagał się on z łaski zdobiącej

wystawę wieży Eiffel, całej z lewkoni różnobarwnych. Przypuszczam, że na odpowiedniego kształtu szkielecie z drutu musiały być umocowane kiście tego pięknego kwiatu, ale choć opowiedzieć łatwo, jakim to sposobem zrobione, nie łatwo dać wyobrażenie o wdzięcznym wrazeniu, jakie sprawiała ta lekka, kwiecista, wonią ziejąca budowa. Stałam, patrzyłam i napałtrzeć się nie mogłam, aż śmiano się ze mnie, że może mam nadzieję być poczęstowaną wszystkimi odmianami przeróżnych gatunków owoców. Ma się rozumieć, że chcąc zrzucić z siebie tak brzydkie posądzenie, wyszłam, lecz przyznaję, że uczyniłam to z wielkim żalem, bo mało znam wdzięczniejszych widoków nad takie nagromadzenie plonów przyrody wspartej przemysłem ludzkim i pracą.

Ze to już cały ten dzień był na wycieczki przeznaczony, więc stamtąd w towarzystwie Józia, którego od czasu jego podróży zajmuje wszystko, co z morzem i w ogóle z żegluga ma związek — poszłam nad Wisłę przypatrzeć się wlocypedowi wodnemu. Żegluje on tam i napowrót pomiędzy dwoma mostami a urządzony jest w ten sposób, że koła ustawione na dwóch wąskich łódkach, obracać trzeba poruszeniem nóg. Właściciel tego dziwnego „wodołaza” jak go Józio nazywa, zapewnia że jest niewyrotny, ale ja byłam bardzo rada, że Józio nie przyszło na myśl spróbowanie nowego rodzaju przejażdżki. Oburzony był moją obojętnością i zaraz ze skargą na mnie napisał do najwierniejszej swojej sprzymierzonej, siostrzyczki mojej Jaskółki. Ona również jak on, lubi morze i wszelaką wodę, tak dla pięknego widoku, jaki w pewnych momentach przedstawiają, jak i dla żeglugi i dlatego, że jak mówi Józio, „przyjemniej jest mózdz raz przecie nie stać na nieruchomej podłodze”. Na zakończenie przedstawiam wam, drodzy moi, tę moją Jaskółeczkę, która i zimę spędzi wśród nas i pragnie zapoznać się z wami bliżej pisując do was niekiedy. Polecam ją więc sercom waszym — tym samym poczciwym serduszkom, na które przywykła liczyć.

Wierna wam zawsze Gołąbka.

BAWEŁNA.

Nasz zwykły ślaz i nasze jaskrawe, wielkokwiatowe malwy, mają w swojej rodzinie bardzo pożytecznego członka, bawełnę. Rośnie ona w gorących krajach, posiadających wielkie jej plantacye, w Meksyku, Brazylii południowej części Stanów Zjednoczonych, Indjach wreszcie Egipcie. Jest to roślina roczna, czyli, że corocznie ginie jej łodyga, niektóre tylko gatunki lat kilka żyją. Twarde nasienie bawełny, zamknięte w przegrodzonych wewnątrz torebkach nasiennych, otacza biały puch, który dobrze znamy, skoro go nam w przedziałniach na długie motki lub tkaniny przerobią. Stosownie do gatunku bawełny, daje nam ona cieńsze lub grubsze nitki, a im cieńsza tem wyższą zyskuje cenę.

Przedziałnie bawełny zajmują setki tysięcy ludzi głównie w Anglii, w Niemczech, w Belgii, a wreszcie u nas w Łodzi, Tomaszowie i t. d. Wszelkiego gatunku perkalu pod jakąkolwiek sprzedawany nazwą, bądź to barchanów, zefirów, szyrtingów i t. p. wyrobione są z bawełny.

W Ameryce znów środkowej rośnie drzewo zwane w botanice, *Eriodendron*, którego nasienie przypomina bardzo bawełnę. Na dołączonych tu rycinach widzimy do jak olbrzymiego wzrostu dochodzą te drzewa. Otóż nasienie ich otacza leciuchne, białe, puszyste włókno, z którego amerykańskie wyrabiają lekkie filcowe kapelusze, miękkie materace, a *Eriodendrony* potocznie zowią „jedwabno-bawełnianem drzewem.”

Drzewo, które nasz rysunek przedstawia, rośnie na jednej z wysp tuhajskich, Bahama, a ogromem swoim mnóstwo ściągają na tę wyspę ciekawych turystów. Korzenie jego dosięgają wysokości pierwszego piętra domu, przy którym stoi drzewo, a cień jego gałęzi pokrywa sto czterdzieści metrów kwadratowych powierzchni.

PRZED LAT TYSIACEM.

(Dalszy ciąg).

— Nerwa, Korneliusz Cynna nie są półgłówkami; wszak sam mój ojciec nie raz jeden poprzednio nazwał ich statecznymi i mądrymi, a zresztą nie oni tylko uważają Nazareńczyków za ludzi spokojnych i nieszkodliwych... Pliniusz tak pisze o nich: „Ich obłąd na tem się głównie zasadza, że w pewnych dniach zgromadzają się, aby uczcić Chrystusa jako Boga, śpiewać wspólnie pobożne pieśni i wiązać się dobrowolnym przyrzeczeniem, że nie będą ani kradli, ani rabowali, ani zdradzali przyjaźni, ani łamali danego słowa, że będą wszystkich ludzi miłowali jak braci”...



Drzewo bawełniane.

— Dość! — krzyknął rozgniewany arcykapłan zrywając się z ławy — żałuję w tej chwili, żeś kazał nauczyć cię czytać...

— Czy wolno zapytać cię ojciec — po chwili milczenia zapytał młodzieniec — jaką karę nowa ustawa naznacza na wyznawców Nazaretanizmu?...

— Rozdarcie przez dzikie zwierzęta, podczas igrzysk na cesarskiej arenie.

— Ojciec! to niemożliwe!

— To konieczne!... Na Jowisza! nie mogę pojąć jakim sposobem ty Kwintusie, ty, mój syn, stajesz się obrońcą tej przeklętej sekty... Niech i tak będzie... pozostawiam ci wolność zdania! Z czasem otworzą się twoje oczy na światło prawdy... lecz zanim to nastąpi, ja wprowadzę prawo które mi podyktowało sumienie i dbałość o dobro Romy...

— Więc kto wyznaje religię Chrystusową, godzien jest śmierci?

— Tak, bez wyjątku, czyby to był niewolnik, czy patrycyusz lub senator!

W duszy Kwintusa toczyła się walka... Już... już chciał zawołać: Ojciec! skazujesz na śmierć własnego syna! wszelako zapanował nad sobą i powstał.

— Żegnam cię ojciec! — wyrzekł zcicha i ująwszy obie ręce arcykapłana złożył na nich długi, gorący pocałunek — gdy dzisiaj będziesz przemawiał w senacie, pomyśl o swoim synu... Wszak pomiędzy Nazareńczykami, których na śmierć skazujesz, są też ukochane tkliwie dzieci i również ukochani ojcowie...

Wybiegł, gdyż tłumione łkanie rozrywało mu piersi... Arcykapłan kilkakrotnie przeszedł się w zadumie, a potem zatrzymał się przy krześle Oktawii i rzekł:

— Czas mi już na posiedzenie senatu, przeciągnie się ono zapewne dość długo. Ale! ale! czy wam już oznajmiłem, że senator Sextus Turyusz ma być dzisiaj naszym gościem?

— Co! — krzyknęła Lucylla — ten szpetny stary nu-

dziasz ze spiczastym nosem, zasiądzie do naszego stołu? Ach! to okropność doprawdy!

Tytus Klaudyusz nie jeden za śmiały żarcik swój przybraną córkę puszczał mimo uszu, lecz dziś roztrzepane dziewczę przekroczyło dozwoloną miarę.

— Lucyllo — rzekł surowo karcąc ją — twoje odezwanie się jest dla patrycyuszki wprost nie przystojne... Żarty ze starszych brzmią niewłaściwie w ustach dziewczycy.

— Przebac mi, najdroższy ojczulku — mówiła Lucylla ze spuszczoną głową i pokorą winowajczyni — serce mi pęka gdy przemawiasz do mnie tak surowo, kiedy twoje oczy się zachmurzą, a na twojem czole o... tutaj ukaże się taka szkaradna zmarszczka.

Objęła Tytusa Klaudyusza za szyję pulchnemi różowemi rączkami i ślicznie ufrizonaną głowę przycisnęła do jego piersi.

— Nie gniewaj się luby ojczulku... już ja odtąd będę wysławiała pod niebiosa twego długonosego... ach! omyliłam się... twego precudnego i miłego Sextusa Turyusza...

Arcykapłan roześmiał się pomimo woli.

— Jestem dla tój figlarki zanadto pobłażliwy. Bywajcież mi zdrowe, do widzenia.

— Ten Turyusz to istne straszdyło! mumia, nieprawdaż mateczko? — zawołała Lucylla po wyjściu arcykapłana! Nawet za tysiąc milionów sestersów nie podałamby mu ręki, nie mówiąc już o zostaniu jego żoną!... I ten szkaradnik miałby poślubić naszą śliczną Klaudyę... Ach! to nie powinno, to nie może nastąpić nigdy! przηνigdy!

— I ja tak myślę moje dziecko! Ojciec kocha was bardzo i zapewne da się ubłagać. Ale gdzież się podziała Klaudyja?

Janie Nazareńczykom, tym razem zgromadzonym „ojcom” przewodniczył Pretor, czyli najwyższy sędzia w Rzymie. Objaśniewszy cel dzisiejszego zebrania, pretor odczytał senatorom ustawę przeciw Nazareńczykom, projektowaną przez Jowiszowego arcykapłana Tytusa Klaudyusza Mucyanusa. Ta część obrad nazywała się *relatio*, czyli *sprawozdanie*. Następnie twórca ustawy, arcykapłan Tytus Klaudyusz bardzo obrazowo przedstawiał, że sekta Nazareńczyków jest zbrodniczym stowarzyszeniem dla Romy, szkodliwym i groźnym, dla obywateli niebezpiecznym stowarzyszeniem z którym należy walczyć i tępić je, dopóki się za bardzo nie rozkrzewi... Świętą swą



Korzenie i pień drzewa bawelnianego.

— Pewno uciekła do swego pokoju, aby się wyplakać. Od wczoraj, gdy ojciec oznajmił, że Sextusa Turyusza przeznaczają jej za męża, biedaczce oczy z łez nie osychają; pójdźmy dobra mateczko, pocieszać tę strapioną gołąbkę.

Arcykapłan tymczasem wchodził na kapitoliańskie wzgórce do świątyni Jowisza, gdzie miało się odbyć posiedzenie senatu.

Zgromadzeni ojcowie takiego bowiem tytułu używali senatorowie rzymscy, zajęli środek świątyni. Pomiedzy innymi siedział tam Nerwa, który później obrany był cesarzem, sędziwy starzec, majestatyczny i łagodny z obliczem do wizerunków bożka Jowisza podobnym; siedział tam, słynny z rozumu i prawości charakteru Korneliusz Cynna. Senatorowie ubrani byli w olśniewającej białości togi, obramowane purpurowym szlaczkiem. Skrybenci i protokółnicy (pisarze) siedzieli przy stołach, na których były przygotowane przybory do pisania, u wejścia stali liktorzy ze swemi toporami i pękami różg. Zwykle na posiedzeniach senatu przydywali konsulowie. Ponieważ konsul Tytus Flawiusz Klemens posądzony był o sprzy-

nię Tytusa Klaudyusza zakończył staro-rzymską przestrogą: „mieście się na baczności, aby ojczyzna wasza nie doznała krzywdy”.

Grzmiące oklaski rozległy się w całej świątyni, a gdy przebrzmiały, pretor do każdego z senatorów zwracał się ze zwykłą w takich razach formułą pytania: „co sądzisz?” („*quid censetis?*”) i... z wyjątkiem Nerwy, Korneliusza Cynny i dwóch jeszcze senatorów, wszyscy inni zgodzili się aby: przedstawiona im ustawa przeciw Nazareńczykom, bezwzględnie była zastosowaną bez żadnych zmian i ograniczeń...

Kwintus Klaudyusz cały ten dzień przepędził w samotności zupełnej. Na początku drugiej wigilii wyszedł z domu i po długiej wędrówce wśród pochmurnej, bezksiężycowej nocy dostał się do lasu, gdzie nad brzegiem strumienia Atmo, oczekiwali nań Difillus i Euterpe... W godzinę potem, Kwintus Klaudyusz, od najstarszego ze zgromadzonych w kamieniołomie chrześcian, otrzymał chrestz święty...

Po północy wracał do domu. Cisza zaległa przepyszna *Via Appia* i ulice Romy. Dopiero przy jednym wodotrysku

spotkał gromadę plebejuszów rozmawiających o nowej przeciw Nazareńczykom ustawie, którą senat przyjął, a imperator potwierdził.

— Wspaniałe widowiska w cesarowym amfiteatrze, nastąpią teraz jedno po drugim! — zawołał jakiś drągał obdarły. — Sabura cała roi się od Nazareńczyków!

— To doskonale — odpowiedział inny. — Ostatnie igrzyska były takie nędzne, że szkoda trudu przychodzenia do cyrku. Na igrzyska największy biedak stara się jako tako ustroić. Więc gdy wyda pieniądze na kupno, lub odświeżenie togi, przynajmniej pragnąłbym krew widzieć. To mu się przecież należy!

— O! Chrystusie miłosierny! — szepnął Kwintus przyciskając do piersi maleńki krzyżyk, który miał ukryty pod togą. — Przebacz mojemu biednemu zaslepionemu ojcu! Przebacz tym wszystkim ludziom, gdyż oni nie wiedzą co czynią!

XVI.

Tejże samej nocy, kiedy Kwintus Klaudyusz został chrześcianinem, jego narzeczona Kornelia wybierała się znów do świątyni Izdy. Stosując się do rady kapłana Barbillusa, siostrzenica Cynny, przez cały miesiąc odbywała tajemnicze pielgrzymki do świątyni Izdy, co noc składała tam coraz kosztowniejsze ofiary: klejnoty, pieniądze, i gorąco modliła się przed zakwefionym posągami bogini.

Dzisiejsza pielgrzymka miała już być ostatnią.

— Wyobraź sobie, Chloe — mówiła Kornelia do swój wychowawczyni i powiernicy — czcigodny Barbillus oznajmił mi wczoraj, że najdobrotliwsza Izda przyrzekła mi swą wszechmocną opiekę i obronę przeciw niebezpieczeństwom, któreby mnie samą, lub moim ukochanym groziły. Na dowód swój łaski ma zesłać swojego brata Ozyrysa i ten posłannik bogini położy ręce na mojej głowie, a wówczas stanę się ubłogosławioną... stanę się prawdziwą córą olimpijskich bogów.

Chloe wzniosła ręce ku niebu.

— Wszechmocna jest bogini Izda! a wielkim i mądrym Barbillus jęj kapłan!

— O, tak! — powtórzyła Kornelia — z początku wiele obietnic Barbillusa uważałam za niemożliwe do spełnienia — teraz jednak wierzę we wszystko!... we wszystko i gdyby ten czcigodny kapłan powiedział mi, że księżyc zawiesi nad domem mojego wuja, albo że w konstellacyą gwiazd, w warkocz Bereniki moją głowę ubierze, nie wątpiłabym o tem, ani przez jedną chwilę... Z duszy mój znikły już wszelkie troski i przygnębienie... Ozyrys ukaże mi się z orlą głową, gdyż jego oblicze musi być zasłoniętem dla śmiertelników, nikt z ludzi nie jest godnym oglądać płomienną i cudowną wspaniałości rysów potężnego bożka.

Chloe i Parmeniusz zostali w przedsionku świątyni, a Kornelię sługa Barbillusa powiódł na piętro.

Przybytek Izdy, dokąd weszła zdjąwszy zwierzchnie okrycie i trzewiki, dzisiaj był urządzony inaczej: posąg bogini stał na uboczu a zamiast czarnych, srebrem przetykanych draperij na ścianach wisały jasno błękitne kotary, obłoczyste i powiewne. Posadzka była zasypaną listkami białych, wonnych róż, a jeden róg przybytku osłaniała ciężka i gęsta tkanina zwieszająca się od samego sklepienia.

— Córkę moja — do dziewczyny mówił Barbillus — ubłogosławioną jesteś łaską najdobrotliwszej Izdy... Niechaj tylko nie przeraża cię majestat potężnego bożka Ozyrysa, który z niebieskich wyżyn ma zejść na ziemski nasz padół.

— Co mam czynić? — szepem spytała dziewczyna.

— Ukłękni tutaj! módl się i oczekuj, aż ci się bożek potężny objawi.

Barbillus wyszedł... Kornelia ukłękła na purpurowej poduszce, tonąc w zachwycie i niepokoju oczekiwania. Zabrzmiała uroczą muzyką, niby płynącą ze ścian, ze sklepienia, z pod ziemi... Lampy pogasły... rozległ się przeciągły huk

grzmotu *) cały budynek się zatrzęsł... Skoro Kornelia cała drżąca podniosła wzrok w górę przy migotliwym, olśniewającym blasku, spostrzegła, że zasłona przed którą klęczała była rozsunięta, a na kolumnie z kości słoniowej i złota stał on... Ozyrys, bożek z orlą głową... poznała od razu tę postać którą już tylekroć widywała uwiecznioną pendzlem i dłutem...

(d. c. n.)

NA JESIENI.

Lecą zeschłe liście jak grad,
Lecą zeschłe liście, hen w świat...
Już przeżyły swoją wiosnę,
Już przeżyły dni radosne
I sukienki wzięły złote
Pod sierpniową dnia spiekotę,
Już przeżyły dobę róż —
Czas im już!...

Lecą ludzkie życia, jak sny
Po przez blaski szczęścia i łzy;
Lecą hyżo, lecą ptakiem
Naznaczonym z góry szlakiem...
Przepadają gdzieś bez wieści,
Nieraz sławne, pełne cześci,
A wędrówki ich przez świat
Ginie ślad.

Ludzie biorą chwilę — za wiek
Za raj znowu biorą — łez stek,
I mniemają w tej rozterce,
Zaspokoić szczęściem serce
I marnują sił skarbnice
Na rozpacz, na tęsknicie,
A nie dążą tam — gdzie kres
Będzie łez.

Mir.

W dziewiczych lasach Ameryki.

(Dalszy ciąg).

— Przypuśćmy, że się to uda, że pies i krajowcy dokażą tego, czego nie dokazała siła zbrojna... A cóż będzie, jeżeli nas, nieliczną garstkę, otoczy banda Patrizios? Czy wiemy ilu ich jest? Gdzie mają punkt zborny?... Możemy natknąć się niespodziewanie na całą bandę zebraną... Co wtedy będzie? Józia nie odbijemy i sami... zginiemy!

— Nie odbijemy go także szukając go tak, jak dotychczas. Obawa natknięcia się na całą, niewiadomo jak liczną bandę, zebraną w jakimś nieznanym nam punkcie zbornym może być słuszną, ale... ziści się, albo nie ziści! Za nieziszczeniem się przemawia to, że Patrizios wiedząc, iż są ścigani, włóczyć się muszą po puszczy małych oddziałami, którym zawsze ukryć się łatwiej... Jeden z takich spotkać możemy. Choćby to nie był ten, który Józia nam porwał, to kto wie? zaskoczeni zniemacka, schwytani może przez nas, wydać nam mogą towarzyszy, powiedzieć, gdzie mamy szukać tamtych, u których jest nasz chłopiec.

P. Tadeusz tak gorąco bronił swojej opinii, tak silnie zdawał się być przekonany o możliwości odnalezienia Józia, że p. Walery uczuł się w postanowieniu swem zachwianym. Ener-

*) Rozmaici pisarze a mianowicie Święty Heronim urodzony w Dalmacyi w r. 331 zmarły w Betleem w r. 420, w dziele swoim p. t. „*Odpiernanie kacerstwo*”, opisuje mnóstwo sztuki, któremi kapłani starożytni, a późniejsi mniemani cudotwórcy, obalamucali łatwowiernych.

giczny i samodzielny, nieraz w życiu pokonywał on o własnych siłach przeszkody, które Europejczykowi wydałyby się niezwykłymi, nieraz z odwagą do zuchwalstwa dochodząca, ze stanowczością despotyzmowi równą, umiał sobie radzić z półdziką ludnością, połowicznie tylko w prawne karby ujętą, ale czynił to tylko wtedy, gdy o jego interes, lub co najwyżej, o własną jego osobę chodziło. Teraz jednak, gdy mu szło o Józia, biedny ojciec tracił odwagę, rzutkość, energię, nie umiał sobie ułożyć planu postępowania, poprostu, jak to sam mówił, nie wiedział już co dalej robić! Liczyć na pomoc władzy, wydawało mu się najlepszą w położeniu jego rzeczą, ale władza bezsilną się okazała i zdesperowany p. Walery, słuchając perswazyj Tadeusza, zaczynał myśleć, że słusznem jest może przysłowie iż śmiałkom szczęście sprzyja.

— Panie Walery, drogi panie Walery, wierz mi pan, że mój projekt, choć zuchwalstwem trącający, nie jest przecie tak nierozsądnym, jak się wydaje. Byleśmy Indiany byli pewni, to na instykt Morilla i na własne męstwo nasze liczyć możemy. Prawda, Morill?

Pies odszczeknął radośnie, raz i drugi, i w podskokach ku drzwiom się rzucił, gotów ruszać w drogę w tej chwili.

— Zawszem był pewny, że Morill nie napróżno uparł się zostać. Po Józii i Benicie najbardziej kochał Lucię. Gdyby nie czuł się nam potrzebny, gdyby nie był pewien, że użytecznym będzie, byłby towarzyszył naszym paniom.

P. Walery uśmiechnął się, słuchając tego dowodzenia.

— Tak bardzo więc wierzysz w psią zmyślność? — zapytał.

— W psią w ogóle a w zmyślność Morilla w szczególności — odparł p. Tadeusz bez wahania. — Z natury mądry, rozwinięty ciąglem obcowaniem z ludźmi, do których jest przywiązany, Morill cały swój instykt wrodzony i całą inteligencję nabytą oddaje na nasze usługi. Nawet pytać go o to nie potrzeba... Dość spojrzeć na niego! Patrz pan.

W rzeczy samej pies, stanąwszy przy progu, odwrócił się ku izbie i utkwiał w rozmawiających wejrzenie tak wymowne, tak przekonywające, tak pełne obietnic, że zrobi wszystko co zrobić będzie w mocy jego, tak uczciwe i roztropne, że p. Walery, popatrzywszy mu w oczy, zapomniał prawie, że psa ma przed sobą nie człowieka i tonem prośby zagadnął:

— Morill? Znajdziesz Józia?

— A jakże! Tylko mi pozwólcie szukać go po mojemu! — odpowiedział Morill rażnym poszczekiwaniami, a gdy p. Walery ulegające wreszcie namowom p. Tadeusza, zdecydował się na stanowcze słowo:

— Ha! więc dobrze! niechże Morill szuka Józia! — pies rzucił się na niego z szaloną radością, zaczął go lizać po twarzy, obejmować za szyję łapami, potem znowu poskoczył do p. Tadeusza z takimi samymi objawami radości i przywiązania, potem w susach obiegł kilka razy w około izbę z głośnym szczekaniem, aż wreszcie całą siłą i całym ciężarem okazałej swojej postaci we drzwi uderzywszy, roztworzył je i wypadł przed dom, donośnym szczekaniem oznajmiając wszystkim, że go wielkie szczęście spotkało.

— Postawił na swoim! — uśmiechając się dla pokrycia mimowolnego rozrzewnienia rzekł p. Tadeusz — on po to został z nami! Kiedyż ruszamy w drogę?

— Ha! spytaj o to Morilla, kiedyś go uczynił naczelnikiem wyprawy — zażartował p. Walery, w którego serce jakby otucha wstąpiła. — Pod jego rozkazami jesteśmy.

— O! naczelnik każdej chwili gotów do drogi! — wesoło odrzucił p. Tadeusz. — A co? nie mówiłem? — dodał, gdy w tej samej chwili z za węgla *fondy* wyskoczył Morill zziąjany szybkim biegiem i szczekaniem i przystanąwszy przed progiem, spojrział na obu panów pytająco, jakby się dziwił, dlaczego jeszcze nie są w drodze.

Trzeba jednak było przedtem rozmówić się jeszcze z żandarnami i podziękować im za udzielaną dotychczas pomoc, trzeba było porozumieć się z Indianami i dać im czas do wyszukania towarzyszy. To wszystko zabrało resztę dnia i cały następny, ale zanim ten dobiegł końca, wszystko już

było gotowe i nazajutrz o wschodzie słońca mały, konny oddziałek złożony z sześciu krajowców i dwóch Europejczyków, ciągnął ku puszczy, zwartym murem pni niebotycznych i spleśnianych, lianami oplecionych gałęzi, otaczającej starożytną osadę Mitli. Na czele oddziału lekkim, posuwistym krokiem szedł Morill, często się oglądając na swoich podkomendnych, uzbrojonych w gwintówki, Winchestery, sześciostrażalowe rewolwery i noże. Każdy miał przy sobie zapas żywności wystarczający na dni parę, w jukach trochę obroku dla koni i dla mułów pod wierzch wziętych, a p. Tadeusz nie zapomniał też zabrać z sobą podróżnej apteczki z lekarstwami i środkami opatrunkowymi.

— Szukaj Morilla Józia, szukaj! powtarzał mu od czasu do czasu p. Tadeusz, na co pies odpowiadał machnięciem ogona i obejrzawszy się na orszak, któremu przewodniczył, policzywszy wzrokiem, czy są wszyscy, szedł dalej z taką pewnością siebie, jakby znanym i utartym kroczył gościńcem.

Droga, którą Morill obrał, wcale nie była do gościńca podobną. Wąska ścieżyna, wijąca się tysiącami zakrętów wśród pni olbrzymich, stawała się nieraz niewidzialną oku, ginąc w bujnych traw powodzi. Zawsze jednak odnajdywał ją Morill i zawsze, chociaż wąska i kręta, była jednak taką, że jeźdźcy przecisnąć się przez nią mogli. Widocznie więc przedzierali się już tedy jacyś jeźdźcy i to zapewne niedawno, bo bujna roślinność tamtejsza byłaby już gęstwiną pędów swoich zasnuła wydarty jej przesmyk, gdyby przesmyk ten oddawna już nie służył ludziom. Pierwszy Paquès uwagę na to zwrócił.

— *Wiedzący* pies — odezwał się, obejrzawszy uważnie ziemię po której stąpano, ściany zieleni, wznoszące się po obu stronach, oraz zmierzwszy okiem wysokość utworzonego po nad głowami jeźdźców sklepienia gałęzi. — *Wiedzący* pies! Tędy jechali ludzie niedawno. Ci sami pewno, których szukacie!

— Skąd wiesz, że jechali? — skwapliwie zapytał p. Tadeusz.

— Jeno spojrzeć, to zaraz widać przecie — odparł niemłody, jak szczapa suchy Indianin, a w głosie jego brzmiało coś nakształt politowania nad ciemnotą „bladą twarz”; nie wiedzącej tak prostej rzeczy. — Jeno spojrzeć! A toć żeby tedy nikt nie przejeżdżał oddawna, toby się już gałęzie z góry na ziemię słały, a te oto ledwie nas po ramionach muskają. Kto jedzie, a gałęź mu zawadza, to na strzemionach się uniesie, koniec gałęzi urwie lub utnie i na ziemię ciśnie. Ot! co tu łomu różnego!

I w samej rzeczy grunt, po którym stąpały wierzchowce pokryty był mnóstwem dłuższych i krótszych prętów, patyków, gałązek zupełnie już bezlistnych lub jeszcze zwiędłym, na pół uschłym liściem szeleszczących. Znak to był nieomylny bytności ludzi, a tymi ludźmi nie mogli być inni, jak Patrizios. Chodziło o to tylko, czy ci sami, którzy Józia wprowadzili, czy inni!

(d. c. n.)

Z DALEKA.

Na wystawie zapowiedzianej w Chicago kilku amerykańskich przedsiębiorców zamierzyło na przytykającym do niej placu wzniesić na klatkach żelaznych, pokrytych warstwą ziemi pasmo gór a na niem najbujniejszą roślinność. Grupa gór rozłożona będzie malowniczo, ma być wśród niej pełno wąwozów skalistych, strumieni górskich, leśnych gąszczów i t. d. W kilku kierunkach przerywać je będzie koleją żelazną z tunelami, mostami przepaścistymi, a wszystkie pociągi dążyć będą do stacyi głównej, stanowiącej wjazd na pole wystawy. Z tarasów urządzonych na wyżynach sztucznych gór, widok na pole wystawy będzie bardzo piękny.

W arcybractwie „Nauki chrześcijańskiej” istniejącem w Rzymie przechowują się dotąd stary obyczaj nagradzania nadawaniem im różnych tytułów, uczniów, którzy w ciągu roku celo-

wali w nauce religii ich chwalebnie odbyli egzaminy, jako też publiczne spory. Najdzielniejszy z nich otrzymuje cesarską ni- by godność i przybiera na rok cały tytuł *imperatora*, czterej inni zostają *książętami*. Dygnitarzom tym dodani bywają het- hetmani, *kapitani*, i chorążowie, noszący przed imperatorem na zgromadzeniach publicznych jedwabną, złotem wyszywaną chorągiew. Obiór nowego imperatora nastąpił obecnie w koń- cu września przy uniwersytecie papieżkim św. Apoluarego, w kościele tego świętego, w przytomności kardynała-wikarego. Obrany został młody Edward Cavoni z parafii *Santa-Maria in Transtevere*. Inni uczniowie otrzymali godność książąt, wo- dzów i chorążych. Po ceremonii imperator z książętami i dw- rem udał się w karetach kardynała-wikarego do kościoła swo- go parafialnego N. Panny Maryi za Tybrem, gdzie uroczyste *Te Deum* odśpiewane zostało. W sali zaś przyległego klasz- toru wzniesiony był tron pod baldachimem, na którym nowy cesarz zasiadł w gronie swoich dworzan i witał długi szereg znajomych i ciekawych cisnących się do niego.

Jeden z podróżników tak opisuje klejnoty szacha per- skiego: Klejnoty szacha perskiego przechowywane są w izbie, 20 stóp długiej i 14 szerokiej, a przedstawiają wartość 140 milj. marek. Perły, rubiny, szmaragdy wypełniają naczynia rozstawione dokoła. Zwraca tu uwagę starożytna korona perska, kształtu pączka kwiatu mająca u szczytu rubin nieszlifowany, wielkości kurzego jaja. Na jednym ze skórzanych pasów na- szyto 18 funtów klejnotów. Dwie pochwy szabel oceniono na 5 milj. marek każdą; na innej znowu pochwie, dosłownie po- krytej dyamentami, najmniejszy kamień wielkości jest pazno- gcia u małego palca dorosłego człowieka. Znajdują się tu nadto: najpiękniejszy ze znanych turkusów, 3 — 4 cali długi, bez najmniejszej skazy; rubiny i perły wielkości laskowych orzechów i około 100 szmaragdów, dochodzących do $1\frac{3}{4}$ cala powierzchni. Największy ze szmaragdów równa się rozmia- rom włoskiego orzecha; imiona wszystkich panujących, któ- rzy go posiadali wyryto na nim.

Udoskonalenie środków komunikacyjnych doszło do te- go, że dziś podróż naokoło ziemi to jest 24,000 mil, można odbyć w przeciągu dni czterdziestu trzech, bowiem lekki po- ciąg kolei żelaznej w przeciągu trzech dni może przebieść ca- łą amerykańską ląd stały i w ten sposób drogę między Japo- nią a Londynem można skrócić z trzydziestu jeden na dwa- dzieścia jeden dni. Poczta, która z Yokohamy wyruszyła 19-go sierpnia, przybyła obecnie do Liverpoolu 8 września rano, a tegoż samego dnia w południe stanęła już w Londynie.

ZABAWKA ARYTMETYCZNA.

Pewien matematyk wskazał jeszcze inne właściwości liczby 9.

Jeżeli przestawimy dwie liczby dane np. 32 na 23 lub 57 na 75 to znajdziemy, że pierwsze różnią się o 9, drugie o 2 razy 9 czyli 18.

Na powyższej zasadzie urządza się także następująca

łamigłówka: wypisujemy różne iloczyny liczby 9, jak: 18, 27, 36, 99, 117, 126, 198... aż do 999.

Następnie prosimy obecną osobę o wybranie dwóch z po- wyższych liczb, które dodane powinny dać pozycyą trzech liczb; niech ta osoba jedną z liczb otrzymanych w myśli odrzu- ci, i powie nam pozostałe, do tych dodamy tyle jednostek aby otrzymać 9 lub 18, i przekonamy się że liczba którą dodać wypadło jest równą wyrzuconej.

Jeżeli wybierzemy liczby: 162 + 297 otrzymamy 459, z tej wyrzuciwszy końcową liczbę a dodawszy pozostałe, 4 + 5 otrzymamy liczbę 9 czyli liczbę poprzednio wyrzuconą.

Otrzymamy ten sam rezultat wyrzuciwszy liczbę środkową z 297. Nadmieniamy że liczba którą się odrzuca nie powinna być zero.

Jeżeli suma otrzymana równą jest 9 lub 18 dowodzi to że liczba 9 została wyrzuconą, np. 198 + 396 = 594, wyrzu- ciwszy 9 pozostaje 5 + 4 = 9. Tak samo 360 + 639 = 999, wyrzucimy jedną 9, pozostałe 9 + 9 = 18.

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Wprost lub nie, *drugie* bywa zarazem
Głośniejszym nieco uczuć wyrazem.
Pierwsze i *trzecie* jest imię znane,
Trzecie i *pierwsze* znaczy odmianę,
Cechę innego ludzi plemienia,
W gatunku zwierząt różne odcienia;
Wszystko wędrowcom ściele bez miary
Ogromne piasków obszary.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 43-go.

Niteczka Aryadny:

Jeżeli doznasz kiedy obrazy,
Wprzód by ochłonać, nim powiesz co,
Liczb do dziesięciu; a ile razy
Wpadasz w gniew, złość, rachuj sto.

Ewa Marya.

Łamigłówki zgłoskowej:

1. Lodi. 2. Agawa. 3. Cement. 4. Hamilkar. 5. Echo.
6. Zap. 7. Ino. 8. Selters.

Lachezis i Atropos.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Wycieczka na księżyc p. Wł. U. (z drzew.) — List z Warszawy. — Bawełna (z drzeworytami). — Przed lat tysiącem (c. d.) — Na jesieni, wierszyk p. Mir. — W dziewiczych lasach Ameryki (c. d.) — Z Daleka. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Jak Władzio spędzał wieczory jesienne (z wzorkami). — Pocieszka mamusi, wierszyk p. Helenę Bojarską. — Cesia p. H. B. — Dla cze- go wszyscy Zosię kochali? — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy p. A. Do. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Zwalczone uprzedzenie, powieść p. Karoliny Yonge, przekład z angielskiego T. P.

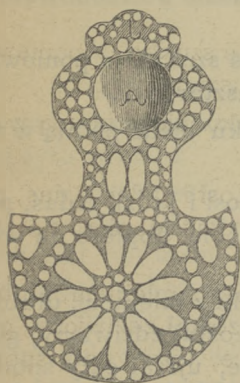
WIECZORY RODZINNE.

Jak Władzio spędzał wieczory jesienne?

(Dokończenie).

Daliej idą wzory i roboty tekturowe przez samego Władzia wykonane.

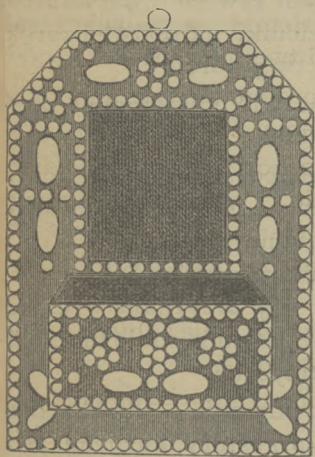
Obrazek 5-ty pantofelek do zegarka, wyklejony ziarnkami arburowymi i drobnymi ziarnkami grochu
Obrazek 6-ty pudełka do zapalek.



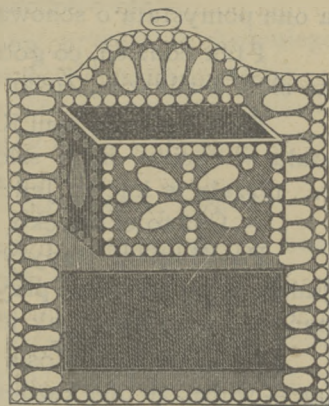
Pantofelek do zegarka.



Ramka tekturowa.



Pudełka do zapalek.



Obrazek 7 ramka tekturowa, w którą Władzio oprawił fotografią swego wuja. Oprócz powyżej wymienionych, Władzio wykonał wiele innych robótek i wzorów, w ciągu długiego szeregu godzin wieczornych.

Jeżeli Władziowi które pudełko udało się dobrze nakleić, a ziarnka nie miały ładnej barwy, wtedy malował je na rozmaite kolory.

Do barwienia dosyć jest mieć trochę spirytusu oraz dwa lub trzy kolory laku kolorowego, albo trochę farby olejnej: np. czarnej, czerwonej i niebieskiej.

Łącząc np. farbę czerwoną z niebieską, otrzymamy kolor fiołkowy; mieszając trzy kolory razem mieć będziemy kolor brązowy; czarny z niebieskim, tworzy ciemny granat; czerwony z czarnym — barwę ceglana.

Chcąc lak czy farbę rozpuścić, trzeba wrzucić do miseczki napełnionej spirytusem kawałek laku lub farby i mieszać, dopóki się one w zupełności nie rozpuszczą. Pędzelek winien być mały, płaski, zrobiony ze szczeciny i dosyć cienki.

Ażebymy nie pomięszać różnych farb ze sobą, trzeba pędzelek po dokonanej robocie natychmiast wypłukać w spirytusie lub w ciepłej wodzie z mydłem. W ogóle utrzymywać go trzeba w należytej czystości. Do rozrabiania farby dobrze jest mieć jakieś naczynie np. kieliszek, miseczkę lub spodek.

Farbować należy bardzo ostrożnie, malując rząd po rzędzie, ziarnko po ziarnku, inaczej robota będzie wyglądała bardzo nieporządnie.

Czasem zamiast farb, Władzio używał wprost lakieru albo politory.

Tak przy pracy schodziły Władziowi przyjemnie wieczory jesienne.

Ponieważ zajęcie to jest łatwym, zachęca on czytelników naszego Pisma do naśladowania. Jeżeliby która ze wskazanych prób nie udało się, trzeba tylko do Władzia napisać, a on bardzo chętnie odpowiednich udzieli wskazówek.

POCIESZKA MAMUSI.

Gdy Halinka się nie maże,
Robi, co ktoś starszy każe,
Nie grymasi ani trocha,
To ją mama bardzo kocha,
I utuli i upieści,
Wyciątuje co się zmieści.
Gdy Halinka, ta pociecha,
Do mamusi się uśmiecha,
To tak jasno naokoło,
Tak wydaje się wesoło...
Bo serdeczny uśmiech dzieci
Niby promyk słońca świeci.
Gdy Halinka jak ptaszyna,
Nucić sobie co zaczyna,
I myśl piosnką wypowiada,
To mamusia bardzo rada,
Wszystko wtedy dla niej śpiewa,
Wszystko szczęściem się odzywa.
Bo pocziwe przecie dziatki,
To jak ptaszki, to jak kwiatki:
Rozpraszają smutku wiele,
Niosą radość i wesele.
Každy im też rad niemało.
I kocha je duszą całą!

Helena Bojarska.

CESIA.

— Patrz Róziu, jaka ogromna liszka chodzi tu po drzewie — powiedziała Cesia do swój przyjaciółki, z którą bawiły się w ogrodzie.

— Gdzie, gdzie? — pytała Rózia z przestachem, a spostrzegłszy liszkę zawołała: — O! okropnie boję się liszek, nie wiem, co bym zrobiła ze strachu, gdyby na mnie weszła.

— O! i ja także — rzekła Cesia — nigdy bym jej nie wzięła do ręki, za nic w świecie!

— To odejdzmy stąd lepiej — powiedziały dziewczynki i pobiegły gdzieindziej; ale mama zaraz zawołała na podwieczorek i trzeba było wracać do domu.

Zasiedli wszyscy do stołu, wtem Cesia spostrzegła na plecach Rózi ogromną liszkę, podobną do tej, jaką przed chwilą widziały w ogrodzie.

— Co tu robić? — pomyślała sobie — Rózia przełęknie się, jak ją zobaczy, albo jak się o niej dowie, a zanim komu powiem o tem do uszka, to ona tu jeszcze na szyję wejść gotowa... Niema co! zdejmę sama.— Wzięła liszkę w paluszki i chciała wyrzucić za okno, ale gdy się liszka poruszyła, Cesia krzyknęła i upuściła ją na podłogę.

— Co to? co to? — zaczęli się wszyscy dopytywać.

— Chciałam wyrzucić liszkę za okno, ale wypadła mi z ręki — odrzekła Cesia.

— Ty miałaś liszkę w ręku, ty? ty? — pytał ojciec — przecież tak się boisz liszek, że przed nimi uciekasz z ogrodu, skądże dziś taka odwaga?

— Ach! ojczulku — odpowiedziała Cesia — ona siedziała na plecach Rózi, a Rózia bardzo się także boi liszek, nie chciałam więc, żeby się przełękła i sama zdjęłam.

— Zuch dziewczynka z ciebie! — zawołał — ojciec bardzo dobrze robiła i kocham cię za to.

— Dziękuję ci, Cesi — powiedziała Rózia — jesteś bardzo dobrą — dodała i ucałowała przyjaciółkę.

O jak było Cesi miło, że tak postąpiła: od tego też czasu i liszek mniej się boi i już przed nimi nie ucieka.

H. B.

Dlaczego wszyscy Zosię kochali?

Zosia i Jadzia spędzały wakacje na wsi u ciotki.

Dobrze było tam dziewczynkom, ale weselszą i szczęśliwszą od siostry była Zosia, bo ją wszyscy a wszyscy kochali. „Dobra i Jadzia, mówiono, ale Zośka to złote serduszko.”

Raz ciocia wybierała się na wizytę, była to niedziela i pani K. pozwoliła służącej wyjść na wieś; ubierała się więc bez pomocy: dziewczynki były w jej pokoju.

— Ach Boże, zapomniałam, że w lampce niema spirytusu, i nie będę mogła ukarbować grzywki! — zawołała ciocia. — Cóż robić, teraz już Maryanna wyszła i klucze zabrała.

— Proszę cioci, jest już spirytus; nalaliśmy dziś rano — rzecze Zośka.

— Skądże ci to przyszło na myśl, moje dziecię? — zapytała zdziwiona pani K.

— Tak... słyszałam, że ciocia ma się ubierać na wizytę, więc poszłam zobaczyć czy wszystko w porządku.

Ciocia serdecznie uściskała dziewczynkę, wzruszona jej uwagą i pamięcią o drugich.

Innym razem, podano przekąskę; wszyscy zajęci byli żywą rozmową, a wuj dziewczynek, który smacznie zjadał wędliny, powstał, oglądał stół, a nie znalazłszy czego szukał, usiadł napowrót.

Za chwilę zjawia się Zosia ze słoiczkiem musztardy w ręku.

— A niechże cię uściskam! — zawołał wuj. — Skądże się tak trafnie domyśliłaś, że właśnie potrzebowałam musztardy?

— Widziałam że wujek czegoś szukał, a ponieważ wiem, że zawsze wuj je szynkę z musztardą...

— Więc czułaś się w obowiązku biedz po nią w tej chwili? Oj ty złota dziewczynko!

Zdarzyło się raz, że kuzynek Zosi i Jadzi, Adaś, pojechał konno na spacer i miał wrócić dopiero na wieczorną herbatę.

Na podwieczorek były poziomki z mlekiem, ulubiony przysmak Adasia. Jakże mile został zdziwiony, gdy przy herbacie, przy swojej szklance, ujrzał cały spodeczek poziomek.

— O! a to skąd się wzięło? — zapytał.

— A któż jak nie Zosia myśli zawsze o wszystkich! — rzecze ciocia. — Mieliśmy poziomki na podwieczorek, a ona pomyślała o schowaniu ci twój porcy!

I tak codziennie, co godzina prawie powtarzano: Zośka złote serduszko, Zośka kochanie.

Razu jednego pani K. przechodząc przez salę, usłyszała w kąciку ciche szlochanie... Odwróciła się więc i... ujrzała w kąciку Jadzię splekaną.

— Cóż to ci dziecko, co masz za przykrość?

Po długim dopytywaniu się, przyznała wreszcie Jadzia, że jej strasznie przykro, iż nie umie sobie tak zjednać serc wszystkich jak jej siostrzyczka.

— Ja wiem, że Zosia lepsza odemnie — mówiła łkając — widzę, że ona każdemu się przysłuży, każdemu zrobi przyjemność, i ja bym chciała tak samo, a nie wiem jak! Żeby kto mnie o co poprosił, to zaraz bym pobiegła, ale tak... sama nie wiem co robić!

— Otóż widzisz dziecko, w tem cały sekret Zosi. Przecież tu nie chodzi o samą przysługę, ale o dowód pamięci i dobrego serca. Każdy kocha Zośkę za to, że widzi iż ona myśli o dogodzeniu, o zrobieniu przyjemności...

— I ja bym chciała dogodzić, i ja bym chciała zrobić każdemu przyjemność, a nie umiem!

— Chcesz? to ci powiem jak się wziąć do tego. Najpierw trzeba zapomnieć o sobie.

— Jakto! a to na co?

— Na to, żeby więcej myśleć o drugich. Żebyś była mniej zajęta swoją osobką, zwracałabyś uwagę na wszystko co się w koło ciebie dzieje; poznałabyś przywy-

czajenia i potrzeby wszystkich, i wiedziałybyś doskonale w jaki sposób być każdemu miłą. Rozumiesz?

— Rozumiem, cioteczko — odrzekła cicho Jadzia. — Widzę teraz, że wcale nie zasługiwałam na ludzką miłość, bo myślałam tak mało o innych, chciałam tylko żeby mnie pieścili, kochali; to także samolubstwo z mojej strony!

— A widzisz, dziecko! Myślałaś o nagrodzie, a nie myślałaś o zarobieniu sobie na nią? Pracuj dziewczę, a nagroda cię nie minie.

MOJE DZIECI,

OPOWIADANIE JEDNÉJ MAMY

p. **A. Do.**

(Dokończenie).

— Śliczna mi zabawa, a jeszcze śliczniejszy z niej pożar! O cztery kroki stodoła, widział panicz jak wczoraj żyto zwozili?

— No to co?

— Ee... poco tam z dziećmi dużo gadać, skoczę po konewki co mam z wodą w ogrodzie — rzekł Marcin i wybiegł, a Antoni bez ceremonii wyprowadził całe plemię na świeże powietrze; sam zaś wrócił czempredź do szopy, pilnować niebezpiecznego ogniska. W kilka minut ogrodnik powrócił z dwoma konewkami wody, zalano płomień, Antoni odgrażał się, że opowie wszystko tatusiowi i mamie; ledwie się dał ubłagać, gdy mu wszystkie dzieci najuroczyściej przysięgły, że nigdy już, nigdy a nigdy nie powtórzą takiej zabawy.

— W samą porę Pan Bóg przysłał tu Antoniego z Marcinem — rzekł Jerzy po chwili zastanowienia. — Doprawdy... jak mogliśmy być tak nieostrożni... zwłaszcza ja, najstarszy. Ach, coby to było, gdyby się szopa zapaliła!

— A stodoły i stajnie tak bliźutko... strach!

— To pewnie anioł stróż Lili skierował ku nam ludzi z pomocą — zauważył Staś.

— Dla czego mój?

— Boś ty zawsze bardzo grzeczna, posłuszna i poczciwa, to twój anioł nie pozwoli ci, nawet niechcący — jak dziś naprzykład — nic złego zrobić. A my, tak często bywamy nieznośni, że nasi aniołowie nie muszą nas kochać tak dalece.

— Co też ty wygadujesz! Każdy anioł stróż kocha powierzone sobie dziecko bardzo, bardzo, choćby najniegrzeczniejsze; ja myślę nawet, że gorszem więcej się opiekuje, bo pragnie jego poprawy.

— Ha, może być. Dość na tem, że nikt inny tylko anioły stróżę ustrzegły wujaszka od wielkiej szkody.

— Gadu gadu, a umyć się trzeba.

— Ale jak się do domu dostaniemy, żeby nas nie sposprzeżono z takimi strasznymi twarzami?

— Musimy iść bocznymi ścieżkami, a potem myk do pralni; tam jest dużo wody i mydła, to się obmyjemy.

— Ach, żeby tylko mamy albo cioci nie spotkać!

Jakoś szczęśliwie udało się dzieciom dotrzeć do por-

tu, czyli do pralni; wrażenie sprawili nieopisane: Marcynowa stanęła jak wryta, i zaczęła się żegnać, a Hanka rzuciwszy konewkę, uciekła pędem do kuchni, gdzie jakając się zwiastowała obecnym służącym, „że paniczów i panienki coś urzekło okrutnie, bo się aż na twarzy mienia”. Zaczęło się mycie na wielką skalę... ale niestety, ani mydło, ani ręczniki, ani twarde ręce Marcynowej, która zmiarkowawszy prędko, że to nowy figiel, pospieszyła z pomocą, nie były w stanie zetrzeć pięknych farb, jakimi się biedne dzieci szczerze umalowały. Trochę to tam niby puściło, chłopcy nie wyglądali już jak fijołki, ale jak bez turecki; a Helenka i Lili, od czoła aż po szyję gorzały jednym wielkim rumieńcem.

— Ach Boże, Boże! Czy to na całe życie tak zostanie? — westchnęła Helenka.

— E... co mi tam! — butnie krzyknął Michaś. — Ja nawet wolę, że się tak stało; pojedę sobie do Wiednia, do Paryża i będę się za pieniądze pokazywał... niech mnie myją, niech się przekonają, żem na prawdę liliowy na twarzy. A jak zrobię ogromny majątek, to kupię mamusi perły jak śliwki, za milion franków, tatusiowi ze cztery wsie, a tobie... sukienkę drogiemi kamieniami wyszywaną.

— Oj, Michasiu, Michasiu, jaki z ciebie dudek! — przerwał Staś — farba się zmyje, ale powoli, może jutro, może dopiero pojutrze; a zamiast milionów, zarobisz razem z nami porządną burę... jeśli nie co więcej...

— Słyszycie? Dzwonią na obiad.

— Aj... ja nie pójdę.

— Ale nie bójże się; przeprosimy, powstydzimy się trochę, trudna rada; chciałybyś źle robić, a nie pokutować. Dziewczęta, idźcie naprzód, Lili na pierwszy ogień! Ona nigdy nic złego nie robi, to jój łatwiej mamy przebaczą... a i nam przy niej.

— Lilusia! Co ci się stało! Czy cię co ukąsiło, czy masz gorączkę? Przypatrz się, Maryniu, jakie to dziecko nienaturalnie czerwone! — zawołała wujenka, widząc zbliżającą się bardzo wolnym krokiem córeczkę.

— Ach mamó!

— Ledwo idzie biedactwo... niedobrze ci? Słaba jesteś? Boże mój!

— Nie, nie mamusiu, niech się mama nie martwi... to nic...

— Jakto nic?

— Myśmy się tylko czerwonomi różami pomalowały i... zmyć się nie chce.

— Aa... i Helenka także?

— To Jerzy nas namówił...

W tej chwili ukazali się chłopcy, we drzwiach jałdalnego pokoju... obie mamy parsknęły śmiechem, i tak jakoś długo uspokoić się nie mogły, że na gniew czasu nie pozostało. Podano obiad, wujaszek żartował sobie z dzieci, i drażnił się z niemi obiecując zaprosić całe sąsiedztwo na oglądanie takich straszylek.

Wyobraźcie sobie, że mimo najszczerzych chęci, mimo mydła i ciepłej wody, przez całe dwa dni jeszcze, twarze dzieci nosiły ślady niefortunnego malowidła.

ZAGADKA.

od Jagódki z pod Arkadyi dla Kingi.

Jestem rzeczownikiem i słowem zarazem
Zawsze jednosylabowym wyrazem.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożyła Sosnowa igiełka.

Z następujących sylab: To—au—kat—strya—ei—ne—se—gro—nach—kas—in; — ułożyć wyrazy: 1. Cesarstwo w Europie. 2. Miasto w Mniejszej Azji. 3. Miasto u podnóża gór turyngskich. 4. Przylądek w Afryce. 5. Nazwa mieszkańca Ameryki. Początkowe litery czytane zgóry na dół powinny utworzyć nazwę miasta w Grecyi, końcowe w tym samym kierunku, nazwę góry w Macedonii.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 44-go.

Łamigłówni kryształowej:

R
S e r
C e g ł a
R e g u l u s
R e l s y
B u k
s

Zadania konikowego:

Droższą jest od srebra, złota
Cicha zasługa i cnota.

Ewa Marya.

Skrzynka do listów.

Ma się rozumieć, zgadłaś **Niezapominajko z nad Warty.**

Cegielce dziękujemy za łamigłównię, którą we właściwej porze spożytkujemy.

Dawno już nie mieliśmy listu od **Wróźbiarki szczęścia**, z tem większą też przyjemnością czytaliśmy serdeczne jej słowa. Zaufanie wasze drogie dziewczki, uważamy sobie za najdroższą nagrodę pracy naszej, za najhojniejsze odwzajemnienie uczuć które dla was żyjemy.

Przyjacieli zwierząt jest mile przyjętym korespondentem. Może nam donosić będzie o zwierzętach, które sądząc z jego pseudonymu, lubić musi?

Łamigłówni **Brunetki** drukować nie możemy; prosimy o inną.

Dziewoja jak się pokazuje, szczerą jest przyjaciółką **Wieczorów**, o czem zresztą nie wątpiliśmy nigdy, poznawszy już poczciwe to serduszko.

P. M. Krup. Życzeniu Pani uczynimy zadość, nagrodę posłemy, zaginiony numer wysyłamy, za obietnicę nowej robótki na korzyść ubogiej dziatwy dziękujemy gorącym Bóg zapłać.

P. Fr. Obuch. ma słusność. Wiemy już o sobie wszystko co

wiedzieć potrzeba, abyśmy umieli cenić wyrazy uznania przez panią nam przesłane.

Jaśko Warszawiak nadesłał nam udatnie skreślony opis Szczawnicy, który z przyjemnością odczytaliśmy, szaradę przejrzymy. Na rozwiązanie konkursu czytelnicy nasi nie długo będą czekali, nie chcemy bowiem nadużywać ich cierpliwości, termin zaś nadsyłania wypracowań nazaczyliśmy na dzień 1 Grudnia.

Kochana **Horpyno**, bukiet, którym nas obdarzyłaś jest tak ładny, że Gołębka się cieszy myślą otrzymania podobnego. Istotnie posiadasz talent ładnego zasuszania kwiatów, co nie jest rzeczą łatwą i wymaga wielkiego starania.

Droga **Galązko Heliotropu!** Gdzie się udałaś opuściwszy Arco? nie chciałabym przerywać naszej korespondencji. Brzydotko, dziękuję ci serdecznie za liścik. Czy mieszkasz stale w New-Yorku czy też czasowo? Sarenko z nad Bałtyku. Spytaj się twój nauczycielki p. Bronisławy o Janinę I. znajomą jej poprzedniej uczennicy Maniusi R. a dowiesz się kto jest szczerze wam życzliwa *Różowa galązka* dawniej *Kwiat lotosu*.

Milutka **Mała Tunguzko!** Z krainy amerykańskich Mohikanów i Delawazów przesyła ci, luba siostrzyczko do krainy syberyjskich Ostiaków i Tunguzów serdeczne pozdrowienia. *Brzydotka z nad Tanizy*.

Droga **Mgło wieczorna!** Znam cię dobrze, na imię ci Hela R. Przygotowałam się do gimnazjum lecz z powodu braku miejsca uczyć się w domu. Z nauk najlepiej lubię arytmetykę i muzykę. W zeszłym roku byliśmy razem w Zoppot. Pozdrawia cię *Boginka z nad Łydyni*.

Ciszo **wieczorna!** Dziękuję ci za liścik, zrobiłaś mi tym wielką przyjemność. Uczę się w domu, najwięcej mnie zajmuje „Przed lat tysiącem” i „W dziewiczych lasach Ameryki”. *Niezabudka z nad Chomoru.*, zapytuję cię jak spędziłaś wakacje.

Miluchna **Złota Pszczółko!** Na imię mi Janina nazwisko zaczyna się od liter Ho...; mam tylko jedną siostrę Zofię, dwóch braci Tadeusza i Kazimierza. Lato przepędziłam w Grodzisku; stale mieszkam w Warszawie, a uczyć się w domu. Pragnęłabym coś wiedzieć o tobie. *Artystka*.

Czytając skrzynkę do listów bardzo się mi podobał twój pseudonym **Podróżniczek**. Czy zechcesz ze mną korespondować. Mam lat 13, mieszkam na wsi, uczyć się w domu z młodszą siostrzyczką Maniusią. *Rybitwa z nad Liwca*.

Kochana **Kingo!** Jestem jedynaczką, na imię mi Maryla mam lat jedenaście. Książki najlepiej lubię M. I. Zaleskię lub Teresy Jadwigi. Listy „Z wyspy Atlanty” zajmują mnie bardzo, lecz najwięcej losy Dolores, w końcu zapytuję się jak ci na imię. Życzliwa *Świtezianka*.

Milutka **Niezapominajko!** Madzia Drzew. kazała cię uściśkać, dużo mi opowiadała o tobie. Brzydotko! czy pseudonym twój odpowiada twój powierzchowności, żeś go sobie obrała? Czy nie tęsknisz za krajem? Wróźbiarko droga czy nie chciałabyś wywróżyć mnie trochę szczęścia, którego nie mam wcale? Sympatyczna Brzoza płacząca! Jesteśmy w równym wieku i jednakowe mamy imiona. Kalino z nad Bugu! Znam cię trochę z opowiadania Zosi Olsz., z którą chodziłam do gimnazjum, i bardzo ją kocham. Siostra jej Trawka nie może ci odpisać, gdyż już przeszło od roku jest dorosłą. Wasza *Marynarka*.

Dziękuję ci kochana **Niezapominajko** za ułożoną dla mnie szaradę, lecz wtedy właśnie **Ukraineczka** z którą czytałaś **Wieczory** wyjechała z domu na naukę a ja nie spostrzegłam dowodu twój o mnie pamięci. Ciebie jak również wszystkie szanowne starszki pozdrawia *Ukrainka na Mazowszu*.

Pierwiosnku! Dziękuję ci za liścik kochana moja, byłam zajęta lekcjami i robótką, na konkurs, dla tego długo nie odpisywałam. Bardzo mi się podoba „Zwalczone uprzedzenie”. Czy mieszkasz na wsi tak jak ja? Pozdrawia cię wraz z Jaskółką z nad Tykicza. *Ciche westchnienie*.